ROK II. Nr. 40 (89) Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. 5 października 1930 r.



SEN NOCY JESIENNEJ...



„Zjednoczenie wszystkich narodów Europy jest warunkiem, gwarantującym ich rozkwit. Wszystkie rządy odpowiadają moralnie za zrealizowanie tej idei“.

Briand.

STANISŁAW PORAJ.

Obrońcy mniejszości

Jakeśmy to przewidywali, Niemcy nie wysunęły sprawy rewizji swych granic wschodnich w czasie sesji wrześniowej Rady Ligi Narodów. Zdecydowana w tej materji opinja całego Zachodu podziałała widać hamująco w stopniu dostatecznym, nawet na niezbyt subtelną dyplomację Rzeszy, która po manifestacyjnie napastliwych wystąpieniach p. Treviranusa, uznała jednak za wskazane przybrać układną maskę pokojowości na czas obrad genewskich.

Niemniej wszakże, pośrednio, przedstawiciel Rzeszy starał się napomknąć o tym temacie, a gdy po sesji rady nastąpiła z kolei sesja zgromadzenia Ligi, delegat Niemiec, p. Koch-Weser, podniósł w komisji politycznej sprawę opieki nad mniejszościami narodowemi, w obrębie obcych etnicznie organizmów państwowych. Domagając się ulepszenia dotychczasowych metod ochrony mniejszości, omawiając prawo wnoszenia zażaleń i t. p., oświadczył p. Koch-Weser, że głównem zadaniem właściwej komisji Ligi winna być ochrona praw przyrodzonych mniejszości, a więc języka ojczystego, jej kultury i religji.



„Piękne są słowa, lecz daleko piękniejsze są karabiny, armaty, okręty i aeroplany. Prawo bez siły jest czczym frazesem“.

Mussolini.

Było też momentem niezmiernie symptomatycznym dla obrad Ligi, że gdy następny mówca, delegat Albanji, zgłosił propozycję utworzenia stałej komisji mniejszościowej, huk motorów niemieckiego „Zeppelina“, przelatującego właśnie nad Genewą, uniemożliwił na pewien czas dyskusję.

Niemcy — w myśl traktatu wersalskiego — nie mają wojska lotniczego; nie wzbroniono im jednak posiadania cywilnego lotnictwa i w tej właśnie dziedzinie pracuje dziś Rzesza, z całym niezmordowanym wysiłkiem, zdając sobie wybornie sprawę, że każdy samolot pasażerski w parę chwil da się zamienić na samolot bojowy, a wielki statek powietrzny może być doskonale użyty do szybkiego przetransportowania oddziału piechoty wraz z bronią i amunicją.

Na ów warkot więc silników niemieckiego „Zeppelina“, jaki poprzeć miał wnioski niemieckie, należałoby nietylko w Genewie zwrócić baczną uwagę.

Wróćmy przecież do treści rzeczy, a więc do sprawy opieki nad mniejszościami, popieranej tak gorąco przez przedstawiciela Rzeszy. Wydawać się to może człowiekowi, stojącemu na uboczu, paradoksem, a bodaj graniczącym z bezczelnym cynizmem. Ktoś, kto nie przywykł do spowijania swych myśli w jedwabie dyplomatycznej układności, gotówby powtórzyć zagłobowe słowa o djable, co się w ornat ubrał i ogonem na mszę dzwoni. My, bezpośredni sąsiedzi Rzeszy, współbracia wynarodowionych ludów zachodniosłowiańskich, pomiędzy Elbą a Odrą, bracia rodzeni zniemczonych w ogromnej części Pomorzan i Ślązaków, gotowiśmy buchnąć krwawym, szyderczym śmiechem, zapoznając się z treścią przemówienia p. Koch-Wesera. Toć pamiętamy jeszcze rugi pruskie i „kulturkampf“ niemiecki, komisję kolonizacyjną i wywłaszczenia, wóz Drzymały i Wrześnię z czasów niemal bezpośrednio poprzedzających wojnę, — a przedtem jeszcze porywanie pomorskiej młodzi szlacheckiej do pruskich szkół wojskowych za czasów Fryderyka Wielkiego, wcielanie przemocą chłopów polskich do szeregów wojska pruskiego, przyrzekanie wszelkich wolności i łamanie następne wszystkich monarszych przyrzeczeń po zagarnięciu W. Księstwa Poznańskiego przez Prusy.

W umyśle zwykłego człowieka, nieobeznanego z przemyślną grą polityczną, pomieścić sie nie może, by naród, który wyrósł kosztem innych, który wszystko, aż do imienia nawet, zrabował wynarodowionym przez się pogańskim Prusom, miał czoło stawać dziś z różdżką oliwną na straży „przyrodzonych praw“ mniejszości narodowych, ich mowy ojczvstej, kultury i religji.

Nie jest to też istotnym celem genewskich wystąpień przedstawiciela Rzeszy, Nie chodzi tu bynajmniej o opiekę nad mniejszościami wogóle, o zapewnienie im swobodnego rozwoju kulturalnego i wvznaniowego w ich ojczvstym jezvku, ale z dochowaniem przez nie wszystkich obowiązków obywatelskich wobec państwa, w którego granicach się znalazły. Celem istotnym tej gry niemieckiej jest wyhodowanie w szeregu państw wiecznie jątrzących komórek fermentu, źródeł niechęci i protestu przeciw obowiązkom państwowym z pod którvchby sie dana mniejszość mogła wvłamvwać i odwołvwać za każdym razem do jakiejś ponadpaństwowej instancji. Mniejszość taka stawałaby się w ten sposób klinem, rozsadzającym każdą państwowość od wewnatrz.

Wystąpienie przedstawiciela Rzeszy spotkało się jednak z dwukrotną, silną odprawą ze strony polskiej. P. minister Zaleski odpowiedział naprzód bezpośrednio, na posiedzeniu komisji politycznej, iż Polska mogłaby zrewidować swój dotychczasowy punkt widzenia w jedynym tylko wypadku, wówczas mianowicie, gdyby chodziło o ustalenie systemu ochrony mniejszości, jednolitego dla wszystkich bez wyjątku członków Ligi. System taki zgadzałby się zresztą z pierwotną ideą zmarłego prezydenta Stanów Zjednoczonych Wilsona, a nie byłby sprzeczny z życzeniem, sformułowanem na trzeciem zgromadzeniu członków Ligi, które wyraża ufność, że państwa, nie związane żadnemi zobowiązaniami co do mniejszości, zastosują mimo to ten sam stopień sprawiedliwości i tolerancji wobec własnych mniejszości, jakiego wymagają traktaty mniejszościowe.

Drugie swe z kolei przemówienie p. min. Zaleski nawiązał raz jeszcze do wniosków niemieckich, by przypomnieć, że sam on należy jeszcze do tego pokolenia, które w szkołach obcojęzycznych na ziemiach polskich karane było za odezwanie się w języku ojczystym nietylko w czasie lekcji, ale nawet podczas pauzy. Jako taki jest p. minister —

(Dokończenie na str. 12)



„Nowa wojna europejska wybuchnie bez wątpienia. Jedyna nadzieja w opanowaniu sytuacji przez umysł, nie operujący mrzonkami, lecz najzupełniej praktycznemi danemi“.

Mac Donald.



„Wszystkie te pro i contra, które towarzyszą każdemu zagadnieniu politycznemu, zatruwają im życie i wzmagają we mnie niechęć do zajmowania się polityką“.

von Hindenburg.

Rekordy, rekordy, rekordy...











To, co fascynuje pewną kategorję ludzi: marsz kelnerów z Berlina do Italji, rekord szybkości golenia, jazda na nartach na Champs Elysees, konnostępa dokoła Europy i wyścigi z beczkami.

Profesor Piccard jeszcze nie poleciał w podniebne rejony. Może być, że nieporządki w atmosferze czy stratosferze utrzymają się jeszcze w ciągu dłuższego czasu, ale imię profesora Piccarda obiegło już szumnie cały świat.

Czy to rzecz ważna, czy nie, wzniesienie się na wysokość 16.000 mtr., nie ma właściwie żadnego znaczenia, ale — na 16.000 mtr. jeszcze nikt dotychczas nie wzniósł się i fakt ten najzupełniej wystarcza, aby oczy całego świata zwróciły się na osobę profesora Piccarda, gazety zapełniały swe szpalty opisami projektów, planów, wywiadami z panem profesorem, licznemi ilustracjami: przy balonie, pod balonem, w balonie, z rodziną i bez rodziny i t. d., i t. d.



Kilkudniowe siedzenie na latarni jest chyba rekordem głupoty.

Zapewne, praca w kopalniach, na głębokości kilkuset metrów, zawód nurka lub dobywanie pereł z głębi oceanów w najbliższem sąsiedztwie rekinów jest trudniejsze i niebezpieczniejsze, ale — tam nikt nie bije rekordów i wszelkie zasługi, wyczyny bohaterskie pozostaną zawsze bez echa...

Z jakiem napięciem, przed miesiącem czy dwoma, świat śledził perypetje dwóch przedsiębiorczych młodzieńców, którzy przesiedzieli 450 godzin w jakiemś mieście amerykańskiem na drzewie!

Z zapartym oddechem czytano o losach 10-ciu par, które w stanie Kentucky, czy innym, podjęły konkurs wytrzymałości w tańczeniu charlestona i o bajecznem zwycięstwie mister Alvareza w czasie 57-iu godzin i 12 minut. Tancerz-rekordzista na miejscu otrzymał dyplom magistra chemji, chciano go nawet zrobić członkiem akademji, niestety, projekt ten nie doszedł do skutku dlatego, że w Kentucky niema akademji.

W dziwnych czasach teraz żyjemy; dla przyszłych naszych pokoleń będą one nielada zagadka do rozwiązania. Dziś nie odgrywa żadnej roli, jaki rekord został pobity, — godziny, sekundy, najważniejszem jest, jak został zdobyty metry, milimetry.

Jeśliby człowiek posiadał wzrok, któryby mógł objąć całą kulę ziemską, to ujrzałby wszędzie, czy to w Europie, Ameryce, czy Azji, Afryce, Australji setki tysięcy ludzi wszystkich kolorów i odcieni, białych, czarnych, bronzowych żółtych, czerwonych, których jedynem i wyłącznem zajęciem jest walka z rekordami: wznoszą się do góry, skaczą, pływają, biegną, walczą, rzucają piłką.

W tym korowodzie nie brak ani jednego zawodu, najdziwniejszego i najmniej odpowiedniego chyba do bicia rekordów. Mistrzem w rzucie oszczepu jest student teologji, choć oszczep dawno już wyszedł z użycia, choć oszczep i teologja wogóle nie wiele mają ze sobą co wspólnego. Jednym z lepszych bokserów jest ksiądz-misjonarz. Rekordzista w krótkich biegach Peltzer jest nauczycielem, to samo słynna lekkoatletka japońska Hitomi, którą też nazywają „latającą nauczycielką".

Wszystkie wypadki o światowej doniosłości idą w kąt wobec rekordów sportowych. Czy w dniu meczu Tunney — Dempsey zwrócił ktoś uwagę na trzęsienie ziemi we Florydzie, gdzie zginęło dwa tysiące ludzi?

Świat wpadł w jakiś obłęd, nienasyconego pragnienia cyfr i cyfr jakichkolwiek, bez treści i sensu, byle cyfr rekordowych, codzień wyższych i wyższych.

Rekordy i rekordy!



A ci „sportowcy" startują do zawodów wytrzymałości w tańcu.

Co słychać na świecie



30 b. m. rozpoczął się III-ci krajowy konkurs awjonetek.



Pierwszą polską parą małżeńską, która rozpoczęła podróż poślubną aeroplanem, są pp. Bohdanostwo Damięccy.



Ekipe piłkarska, która odniosła zwycięstwo nad Szwecją przed wyjazdem.



Nowe umundurowanie wojsk francuskich.

Co słychać na świecie?... Pytanie to nastręcza szereg bynajmniej nie wesołych reminiscencyj, z ubiegłego tygodnia.

Niemałą sensację na całym świecie budzą przedewszystkiem znamienne zeznania na procesie lipskim, z których jasno wynika, iż ogólnem dążeniem Niemców jest „zrzucenie więzów, nałożonych przez traktat wersalski“ (zezn. ppor. Fürsena). „Cały korpus oficerski, cała armja niemiecka, słyszymy dalej, kultywuje ideę pogotowia zbrojnego, odrzuca pacyfizm w pospolitem znaczeniu, odrzuca również internacjonalizm, natomiast myśli i czuje w duchu narodowo-niemieckim“.

Na pytanie jednego z obrońców, świadek Fürsen stwierdza z naciskiem, że na tajnych rozmowach z Ludinem poruszano m. in. możliwości niewystarczającego pogotowia zbrojnego dla obrony granic niemieckich w razie niespodziewanego ataku ze strony polskiej. Przeciwko temu poglądowi występuje rzeczoznawca, mjr. Theissen, oświadczając, że nigdy co do tego nie było wątpliwości w kołach Reichswehry, ażeby nieprzyjaciel, który odważy się zaatakować granice Niemiec, odparty został przez armję niemiecką“.

Przynajmniej szczerze...

Nie mniej szczerze hakatystyczna prasa podaje wiadomości o napadach bojówek niemieckich na ludność polską w Prusach Wschodnich i aprobuje całkowicie te wystąpienia, będące, ich zdaniem, „czyszczeniem okolic pogranicznych z polskich świń“

Na kresach wschodnich przedsięwzięto szereg surowych zarządzeń przeciw szalejącemu terorowi band ukraińskich. Wykryto szereg składów broni, zamknięto kilka placówek gospodarczych lub kulturalno-oświatowych, które, de facto okazały się placówkami wypadowemi przeciw polskiemu stanowi posiadania za Sanem. Ludność ukraińska zajmuje naogół lojalną postawę wobec zarządzeń władz państwowych, nie mniej jednak w niektórych miejscowościach wojsko nawet natrafiło na zbrojny opór ze strony członków ruskich organizacyj.

W związku z trwającą w dalszym ciągu akcją hajdamaków ukraińskich, odbyła się w Tarnopolu konferencja, zwołana przez wojewodę, w której brali udział główni działacze ruscy z okolicy. Wojewoda oświadczył między innemi, że za moralnych sprawców popełnianych zbrodni uważać musi, niestety, sfery ruskiej inteligencji, które nie tylko nie starają się wpłynąć na złagodzenie stosunków, ale przeciwnie, wszelkiemi siłami popierają szaleńcze czyny hajdamaków

Pod włos

UROSZCZENIA SUBLOKATORÓW.

Minęły, niestety, piękne czasy, kiedy człowiek pewnego popołudnia wpadał na pomysł: „Muszę mieszkać na ulicy Wspólnej".

Szedł na Wspólną, dobierał sobie odpowiedni pokój — było ich w każdym domu po kilka — i... mieszkał. Poprostu mieszkał, dokąd chciał.

Gdy płacił regularnie, gospodyni pytała na dobranoc: „Czy pan aby zadowolony?"

— Dziękuję, mieszka się dobrze.

Stosunki między ludźmi układały się w ten sposób idealnie.

Dziś także jest bardzo dużo pokojów do wynajęcia, ale nie są one wynajmowane z potrzeby. No, bo oczywiście, któżby potrzebował?

Czasy się zmieniły. Dziś żadna „gospodyni" nie wynajmuje pokoju z potrzeby. Bo skądże? Komorne przecież jest tanie, „ustawowe"...

Więc? — Oczywiście, że z dobroci serca. Tylko z dobroci ofiarnego serca...

— Jestem samotna wdowa. Przed wojną miałam wielki majątek w Rosji. Przyzwyczajona jestem do wielkiego świata i do tłumów służby. Robię z siebie wielką ofiarę, że odnajmuję pokoje. To takie niemiłe mieć obcych ludzi w domu. Oczywiście, że jeśli biorę wogóle pieniądze, to tylko ze względu na tę nieprzyjemność. Czyż może być cena, któraby zdołałaby opłacić mi tę przykrą konieczność. Te kilkaset złotych, które otrzymuję, to tylko symbol... i — dodaje dama zbolałym głosem — tak dzisiaj trudno o dobrego sublokatora.

Oczywiście. Bardzo trudno. Sublokator powinien: płacić, cały dzień przebywać poza domem, płacić, nie posyłać służącej z listem do skrzynki pocztowej, płacić tej służącej, pozostającej do wyłącznej dyspozycji „Pani" osobno, spać w zimnym pokoju, płacić osobno za opał, nie korzystać, broń Boże, więcej, jak dwa razy dziennie z telefonu, płacić, i pamiętać, że jest wprawdzie człowiekiem, ale tylko człowiekiem drugiej klasy, sublokatorem, tolerowanym łaskawie w domu, ale tylko z dobroci serca.

No, tak. O takich sublokatorach, niestety, niełatwo. Dziwna rzecz, że wszyscy oni — ci ludzie drugiej klasy! — uważają, że za swoje pieniądze mają prawo czegoś żądać. Bezczelna hołota!

Bonzo.



Zioła lecznicze Cholekinaza leczą choroby wątroby, kamienie żółciowe, złą przemianę materji. Broszura Dr. T. Niemojewskiego przy każdem pudełku. Skład główny: Warszawa, Nawy Świat 5.



— Jestem mężem, czy nie? Dajcie i mnie popatrzeć!...

(Rire)

DRANG NACH OSTEN...



Zaprawdę, wielką niesprawiedliwość popełnia się w stosunku do Niemiec. Nazywają je krajem „bojaźni Bożej", zamieszkałym przez naród, pozbawiony uczuć i subtelności, wiernie dotrzymujący wszelkich, przyjętych na siebie zobowiązań. Oburzyły się Niemcy na ten błąd moralno-etyczny, popełniony w stosunku do nich przez kłamliwych dziejopisarzów. Oburzyły się i przemówiły. Znalazły w osobie Hittlera nieocenionego adwokata, który rozwiał raz na zawsze obłudną opinję o „kulturträgerach". W swym organie „Ost Deutscher Beobachter" rzucił hasło wyrznięcia 15.000 dzieci, które zrodziły się z matek niemiek i ojców—żołnierzy armji okupacyjnej. Owa rzeź niewiniątek ma uratować czystość rasy teutońskiej przed domieszką obcej krwi. Jako drugi kamień milowy na szlaku odrodzenia Niemiec wyznacza ścięcie winnych zbrodni traktatu w Wersalu. Czyż ma to cośkolwiek wspólnego z „bojaźnią Bożą"?. A rozczulone matki—niemki ciskają mu pod stopy kwiaty z wrzaskiem: „Zbawco nasz i wodzu, prowadź!" Czyż to nie dowód subtelności uczuć? Dotrzymania zaś zobowiązań, zaciągniętych przez Niemcy, ma pilnie strzec Reichswehra, uzbrojona w nowoczesną broń i chmury gazów trujących. Czyż zamach na odebranie Pomorza nie jest pięknem świadectwem wiernego przestrzegania paragrafów pokojowych?

Zaprawdę, bijmy się w piersi, za krzywdę, jaką Niemcom wyrządzamy, naszą błędną o nich opinją.

(g)



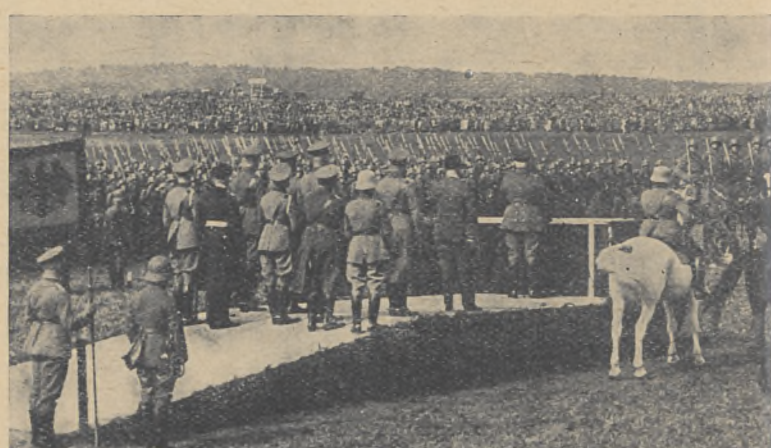
Tegoroczne manewry jesienne armji niemieckiej przypominają chwilę wybuchu wojny światowej. Tendencje zaborcze Niemców są wyraźne.

Nic nie ukryje się przed trucizną, której „hojni" Niemcy nie poskąpią nikomu w przyszłej wojnie.

Taki „parademarsch" chcieliby odbyć na ulicach Warszawy i Paryża.



Tętent kopyt i turkot kół armat niemieckich odbija się coraz częstszem echem zagranicą.



A na to wszystko patrzy się pobłażliwem okiem prezydent „demokratycznego" państwa, marszałek polny, von Hindenburg.



Drużyny ratownicze, bohatersko spełniają swój obowiązek.

JERZY LEWESTAM.

NALOT

Pierwszą rzeczą w Radomiu, która rzuciła się nam w oczy na dworcu, była strzałka i napis: *Do schromu przeciwgazowego.*

Pomimo wczesnej pory, ruch był na ulicy dość znaczny. Ludzie wychodzili z domów, ciekawi wiedzieć co będzie. Z okien wychylały się zaspane jeszcze twarze. Wśród przechodniów zauważyłem wielu oficerów różnych stopni i rodzajów broni.

Koło godziny 7-ej usłyszałem syrenę fabryczną. Gwizdała długo, przeciągle. Zawtórowała jej druga, trzecia, dziesiąta. Gwizdały wszystkie fabryki, parowozy kolejowe, nawet chłopcy uliczni. Cały Radom napełnił się wściekłym wyciem. Towarzyszyły mu dzwony. Zrazu cicho, nieśmiało. Stopniowo coraz głośniej, bardziej żałośnie, jękliwie.

— Alarm! Rzekomy wróg się zbliża!

Na ulicach ukazały się patrole policyjne i przysposobienia wojskowego.

— Zamykać bramy! Do domów! Do schronów!

Powoli chodniki i jezdnie pustoszały. Słychać było trzask zamykanych na prędce bram i okien. Gdzie nie gdzie wystawiano nawet w uszczelnione już szyby pierzyny.

— A pan czego się tu gapisz? — usłyszałem przed sobą dziecinny niemal głos. To stróż porządku, piętnastoletni młodzieniec, z najeżonym bagnetem na karabinie, patrzy na mnie marsowym wzrokiem. — Nie marudzić tu. Jazda!...

— Jestem dziennikarzem i mam przepustkę, pozwalającą mi na przebywanie na ulicy, panie poruczniku!

— Niech mnie pan nie tytułuje porucznikiem — odpowiada malec z widoczną tęsknotą za przyszłą szarżą, — a jeśli pan ma przepustkę, to proszę stanąć tu wśród zaproszonych gości.

Ujrzałem sporą gromadę oficerów wśród nich paru „cywilów". Obecni tam byli prezes Zarządu Głównego L. O. P. P. inż. J. Eberhardt i wiceprezes dr. Z. Martynowicz. Nieco dalej stoją kierownicy ćwiczeń: gen. Wróblewski i dowódca O. K. I., pułk. dypl. Trzaska-Durski, szef Sztabu i pułk. obs. de Beaurain, dowódca I-ej Grupy Aeronautycznej.

Nad miastem ukazuje się płatowiec wywiadowczy. Słychać huk. To witają go działa ukrytych za miastem baterji arytlerji przeciwlotniczych. Samolot wzbija się w górę, maleje i niknie widzom z oczu. Wystrzały milkną. Wkrótce jednak rozlegają się znowu. Zenitówki witają ochrypłym basem powietrznego wroga. Słychać łoskot silników. Trzy wielkie niszczycielskie Farman - Goliathy ukazują się na horyzoncie. Lecą kluczem. Jeden na przedzie, dwa na skrzydłach.

Nagle słychać trzask. Na drugim końcu placu 3 Maja, t. j. placu, na którym stoimy, następuje parę eksplozji. Gęste obłoki sinozielonego dymu pełzną po ziemi. Z dachu któregoś domu praży ogniem za odlatującą eskadrą maszynka.

— Ta, ta, ta, tata!..... ta!

Rozlega się kołatka.

— *Uwaga! Gaz!*

Jednocześnie nadjeżdżają dwa samochody, na których pełno dziwacznych, zakapturzonych postaci. To pogotowie przeciwiperytowe i sanitarne w pełnem, ochronnem przybraniu. Jedni zabierają się do odkażania terenu. Inni ratują rannych i zagazowanych. (Zabici i ranni zostali wyznaczeni już od trzech tygodni i chodzili sobie spokojnie po Radomiu w pełnem poczuciu, że zginą 19 września).

Tu miał też miejsce zabawny incydent. Zabici, ranni i zagazowani, natychmiast po zbombardowaniu placu przez eskadrę nieprzyjacielską, padli na ziemię, czekając na pomoc sanitarną. W pewnej chwili wiatr się zmienił i wionął ku nim kłębem łzawiącego dymu. Wśród nieboszczyków powstał niesłychany popłoch. Poczęli wiać, wiele im sił w nogach starczyło, zasłaniając oczy chusteczkami, a że byli to przeważnie chłopcy zdrowi jak rydze, w jednej chwil plac opustoszał.

Eskadra wróciła i zapaliła pociskami przygotowaną na ten cel szopę. Pogotowie pożarnicze w maskach gasiło pożar. Znów zagdakały karabiny maszynowe i działa.

Radom trząsł się w posadach: bum, bum, bum... Istna wojna!

Po południu okolice tego miasta zamieniły się w dymny ocean. Zapalono 4.000 świec dymnych, uniemożliwiając nieprzyjacielskiej flocie powietrznej bombardowanie poszczególnych objektów. Jednocześnie wzbiły się w górę liczne zapory balonowe.

Lecz dopiero prawdziwą emocję przeszedł Radom wieczorem. Punktualnie o godz. 9-ej ryknęły wszystkie syreny fabryczne. Krótko, przeraźliwie, i urwały. Światła zgasły. Rozpoczął się taniec. Gęsta strzelanina artyleryjska, łuna pożaru i świetlne snopy reflektorów.

Rzucono kilka bomb gazowych na objekty kolejowy. Pogotowie przeciwgazowe, wyćwiczone przez instruktorów L. O. P. P., którzy pracowali pod kierownictwem inż. Godlewskiego, wiceprezesa Komitetu Wojewódzkiego L. O. P. P., przystępuje niezwłocznie do akcji ratowniczej.

Wiele piękna posiadał ten nocny nalot, lecz mimowoli człowiek myślał, że zbrzydłby znacznie, gdyby tam, w górze, wśród nocnych cieni, ukrywała się eskadra prawdziwego wroga z prawdziwemi pociskami.

O godz. 24-ej wszystko było skończone.



Biarritz, wrzesień.

Była późna, bardzo późna godzina. Bar zupełnie opustoszał. Rozjechali się po hotelach najwytrwalsi goście. Nawet dwaj chudzi, młodzi panowie, żłopiący od 10-tej wieczór whisky z lodem — przez całą noc bez przerwy whisky z lodem! — nawet ci dwaj milczący, czerwoni, coraz czerwieńsi na twarzach, młodzi panowie (prowdopodobnie anglicy?) — też odjechali.

Kiedy zacichł ostatni klakson ich Rolls-Royce'a, hen, daleko, za bramą Palace-Hotelu, barman ziewnął. Skinął na argentyńczyków, żeby też szli spać. Muzyka wstała, senna — i poszła. Skrzypce, banjo i harmonja. Zrobiło się w *Mar y Sol* bardzo cicho.

Barman przystąpił teraz do porządkowania lady i tego, co na ladzie stało. Butelki z białymi, żółtymi, zielonymi, czerwonymi alkoholami — zaczęły wędrować, jedna po drugiej, do szaf kredensu. Talerzyki z oliwkami, migdałkami, chips'ami, zaczęły znikać, jeden po drugim, w przepaściach wysokiego kontuaru. Zatrzasnął się hermetyczny frigidaire, pełen przejrzystych kubów lodu. Tylko wysoki kielich ze słomkami w bibułkowych futerałach stał jeszcze na barze. I drewniane pudło, w którem zostało parę śmiejących się brzoskwiń.

Pomimo szalonego, wieloletniego trainingu, barman czuł pewne znużenie. *Mar y Sol* miał tej nocy wielkie powodzenie. Od jakiejś 10-ej wieczór do 5-ej rano przewinęło się przez dwie małe salki kilkaset osób. Niewiadomo, czy dlatego, że bar odwiedziła panna Mistinguett, która dziś występowała gościnnie w kasynie, czy poprostu dlatego, że sezon dosięgał apogeum — poprostu bito się o stoliki. Na czterech metrach kwadratowych posadzki tańczyło jednocześnie 20 par. Szampana poszło jednej nocy więcej, niż przez cały ubiegły tydzień. Wszyscy pili, jakgdyby jutro miano ogłosić mobilizację. Ot, chociażby ci dwaj młodzi panowie, którzy ostatni odjechali: dali radę trzem butelkom *White Label*...

Barman usiadł wygodnie na wysokim zydlu (nareszcie i on mógł usiąść!), nalał sobie z dużego, opancerzonego syfonu, pół szklanki wody sodowej — i wychylił ją jednym haustem. Odbiło mu się. Jako człowiek dystyngowany, zasłonił sobie usta ręką, chociaż był sam. Spojrzał na zegarek, a potem na drzwi. Oho! Pół do szóstej? Chyba już nikt nie przyjedzie. Można dzwonić na górę, żeby zamykali. Na dworze już szaro...

Ale w szczęśliewm Biarritz, nie znającem godziny policyjnej, radość ludzka trwa czasem krótko. Nie zdążył barman na służbę zadzwonić — nie zdążył jeszcze ostygnąć kąt, w którym, na aksamitnych poduszkach, siedzieli całą noc tamci dwaj, wodzący za kobietami szklanemi oczyma — zasyczał raptem, przed barem *Mar y Sol*, asfalt. Zajechała wspaniała limuzyna — i wyrzuciła ze swojego wnętrza młodą kobietę i trzech mężczyzn. Maszyna niezwłocznie odjechała, a towarzystwo wtoczyło się, hałasując za sto osób, do małej salki baru. Młoda pani (cera koloru przydymionego banana, granatowe włosy, wiśniowe usta, rubinowe paznokietki i — ach! — cudne niebieskie oczy) jednym susem, jak młoda panterka, znalazła się na wysokim zydlu, przed kontuarem, i zalała bar kaskadą perlistego śmiechu. Towarzyszący jej panowie (jeden niepozorny, brzydki, dwu wspaniałych, śniadych, rosłych...) umieściło się po bokach śmieszki.

Barman skłonił się towarzystwu, urodziwym panom lekko, ślicznej dziewczynie nizko, a najniżej temu niepozornemu, brzydkiemu. Już wszystko wiedział. Goście niebylejacy! Znakomity hiszpański matador z dwoma komparsami z areny, a ta niebieskooka, to jego przyjaciółka.

Znowu ktoś stanął we drzwiach. Do licha, *Mar y Sol* ma tej nocy zaduże powodzenie!

Nowoprzybyły, duży mężczyzna, o typie neutralnym, ubrany, jak na tę godzinę, dosyć dziwnie, bo w białe pantalony, takież pantofle, i luźną sportową marynarkę koloru beige, spytał barmana, bezczelnie ziewając:

— Czy mogę prosić o kawę czarną?

— Niestety, zapóźno. Może grenadinę?

— Nie, wolałbym coś lżejszego.

— Lemonjadę?

— Bo ja wiem... Chyba nie.

— Cassis?

— Hm...

— Tisane?

— Wódki nie macie?

Barman się uśmiechnął. Aha! Rosjanin.

— Wódki nie mamy. Whisky? Gin? Konjak?

— Niech będzie konjak.

— Mały? Duży?

— Największy.

Barman nalał nowemu gościowi pół szklanki konjaku i spojrzał nań pytająco. Czyby czasem oliwką, albo chipsem nie zagryzł?

Ale domniemany rosjanin już się zagapił na tę śliczną, niebieskooką, roześmianą, opartą o bar, osypaną rosą brylantów. Miała ich na sobie rzeczywiście dużo. Z dziesięć karatów w uszkach, i ze dwadzieścia na szyji nie licząc mnóstwa pierścionków na smukłych palcach. Spojrzenia się skrzyżowały. Młoda osoba, śmiejąc się, widząc, że jest podziwiana, jednocześnie szybko, zgrabnym ruchem, dotknęła obu uszu i szyjki łabędziej. Ot, muśnięcie. Nigdy niewiadomo, z kim się ma przyjemność przy barze. A kolczyk czy kolja, choćby od najlepszego jubilera pochodziły, mogą się kiedyś odpiąć...

Hiszpanie pili różne, lżejsze i cięższe, napoje, jak to się mówi, wzdłuż i wpoprzek, a potem w kratkę, i było widać, że niedługo będą mieli zupełnie dosyć. A śliczna argentynka (bo to była argentynka) sypała tymczasem oko do pana w beige marynarce, raz lewe, raz prawe (niewiadomo które bardziej niebieskie) — i zaśmiewała się do łez. Rozfiglowana, wskoczyła w pewnej chwili na stół, i nokazała mu nogi do pach — oczywista, opancerzone pajęczym jedwabiem! — nogi z nieprawdziwego zdarzenia! — i już znowu siedziała na zydlu, ze zmrużonemi oczami, i udawała, że ciągnie przez słomkę cocktail, i że jest tą czynnością zupełnie zaabsorbowana. Sytuacja dojrzewała do rozmowy, aż dojrzała. Senorita zagadnęła raptem sąsiada, po hiszpańsku (w języku, którym on ani w ząb, ale zapytanie wnet powtórzył po francusku uprzejmy barman):

— Pan jest rosjaninem?

Zaczął się wnet (przy pomocy tego trzeciego, barmana) żywy djalog:

— Nie, jestem polakiem.

— Po-la-kiem? Gdzie to jest?

— Tam, gdzie Polska.

— A Polska — pardon — gdzie to jest?

— Taki kraj, wie pani. Nawet spory. Między Niemcami a Rosją. Znakomite położenie geograficzne!

— Nie słyszałam nigdy.

— Nic dziwnego. Pani taka ładna!

— A jakie macie największe miasto?

— Warszawa się nazywa. Z górą miljon mieszkańców. Duża rzeka tam płynie, Wisła.

— O, do morza wpada?

— Do morza. Bałtyckiego. Ale stosunkowo cicho i skromnie. Bo względnie niedawno odzyskaliśmy niepodległość i jesteśmy dopiero na dorobku.

— Pan się ze mnie śmieje, ale to naturalne, że ja nic o Polsce nie wiem: ja jestem tancerka.

— Tak, to rzeczywiście dużo tłumaczy. Niech pani przyjedzie kiedy do Warszawy. Zorganizujemy pani występ.

— Dziękuję. Postaram się. Macie ładne kobiety?

— Bardzo ładne, Ale pani jest taka urocza, że pani wszystkie zaćmi.

— Podobam się panu?

— Ogromnie.

— Jaka szkoda...

— Co — jaka szkoda?

— Że ja tu jestem nie sama. Ten mały, wie pan, to mój przyjaciel.

— Domyślałem się tego odrazu.

— On jest w tej chwili pijany i nie uważa, ale pan mi sam przyzna, że gdybym mu zrobiła przykrość, toby było nieładnie. Kupił mi niedawno tę kolję. Trzeba umieć być wierną, prawda?

— Ma pani zupełną rację.

— Czy u was kobiety są wierne?

— Hm.. Jakby to pani powiedzieć...

— Raczej tak, czy raczej nie?

— Jeżeli kochają, to bardzo *tak*. A jeżeli nie kochają, to bardzo *nie*.

Ucieszyła się.

— O, to zupełnie jak u nas, w Argentynie!

— Widzi pani, ile nas rzeczy wspólnych łączy.

— W takim razie piję za zdrowie Polski!

— A ja piję za zdrowie Argentyny!

— Jeżeli pan chce, to zapytam mojego przyjaciela, czy pozwoli mi z panem zatańczyć.

— Owszem, chciałbym, ale jest w takim stanie, że mógłby nazajutrz tego pozwolenia żałować. Lepiej pocałuję panią w rączkę.

— Jak pan woli. Czy pan bywa zawsze taki rycerski?

— W stosunku do hiszpanów, zawsze. Zrobiliśmy im niegdyś pewną krzywdę, i ta krzywda, prawdę mówiąc, nie została dotąd wynagrodzona.

— O czem pan mówi?...

— A, to dawne czasy. Niejaki Niegolewski... Kozietulski...

— Nigdy nie słyszałam.

— Somosierra!

— Nie słysza... nie, niech pan poczeka!... owszem, coś kiedyś słyszałam! *Napoleon i Polacy?*

— To samo!

— Wielki był cesarz.

— Wielki.

— Zdrowie Napoleona! Wypijmy razem!

— Świetna myśl! Wypijmy!

Wypili.

— Chce pan? Zapoznam pana z moim przyjacielem. On jest bardzo sympatyczny. O... widzi pan? Przygląda się nam uważnie i nic, biedak, nie rozumie, bo jest taki pijany... I przyjaciele jego też... Ha-ha-ha! Poznać was?

— Bardzo mi będzie przyjemnie. Nie znam osobiście żadnego toreadora.

No, i poznali się, i wypili nawet, zdaje się, jeszcze po 6 cocktailów. Za zdrowie Napoleona, Alfonsa XIII-go, Mistinguett... A potem toreador wpadł w cudowny humor i tańczył na stole. A potem zainscenizował, dla swojego nowego przyjaciela, *walkę byków*. Wyleciał z baru i, choć to był duży dzień, pobiegł *tyłem* (niby to cofając się przed bykiem), po śliskim, dopiero co polanym, asfalcie, z taką szybkością, zataczając prawidłowy krąg, że barman, znawca tych rzeczy, aż cmoknął z zachwytem i powiedział:

— Il est leste, n'est-ce pas?

Potem się z żalem całe towarzystwo rozstało, życząc sobie wszystkiego najlepszego, i spotkania na najbliższej Corridzie. Choć to było niepotrzebne, hiszpan się nagle solennie przedstawił:

— *Antonio Marquez.*

Na co polak odpowiedział:

— *Zdzisław Kleszczyński.*





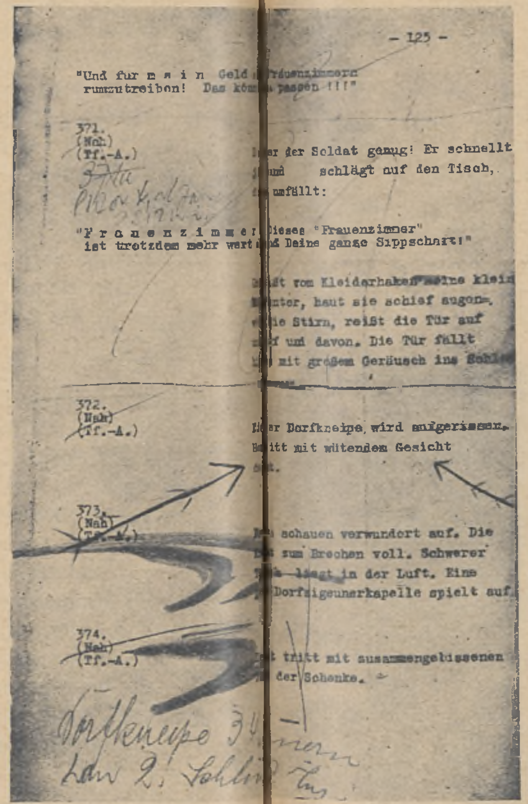
JAK SIĘ ROBI FILM

Patrzymy na liczne filmy, przejmujemy się losem bohaterów, którzy w ciągu dwugodzinnego seansu kinowego potrafią zakochać się, poznać, pokłócić, zwyciężyć wszystkie przeszkody, nawzajem się zdradzić lub przynajmniej stworzyć pozory zdrady, a następnie przeprosić, pobrać i pocałować, pocałunkiem ostatniego aktu, pocałunkiem, gwarantującym im oraz widzom szczęście dalszego pożycia. Patrząc na te liczne perypetje, nie zdajemy sobie przeważnie sprawy z tego, ile czasu, ile żmudnej, uciążliwej pracy włożono w odzwierciadlanie takiej czy innej historji kinowej.

Film, to praca typowo zespołowa, na czele której stoi reżyser, wszystko jednak w tym zespole jest równie ważne.

Rzućmy okiem na poszczególne fazy roboty filmu. Mowa o dużych wytwórniach, odpada więc ta część pracy, która u nas zajmuje najwięcej czasu, praca wynalezienia kapitalisty.

A więc wybór i decyzja scenarjusza, zrobienie z niego „drehbuchu", szkice dekoracji, obsadzenie ról, zbudowanie dekoracji, zdjęcia, laboratorjum, napisy, montaż, vorreklama, premjera. Obecnie dochodzi do tego strona dźwiękowa filmu, napisanie melodji, nauczenie się przez aktora słów w obcym języku, nagrywanie w rozmaitych wersjach i t.d., i t. d.



- 125 -

"Und fur m e i n Geld ... Frauenzimmern rumzutreiben! Das könn... passen !!!"

371. (Nah) (Tf.-A.)

...er der Soldat genug! Er schnellt ...und schlägt auf den Tisch, ...umfällt:

"F r a u e n z i m m e r! Dieses "Frauenzimmer" ist trotzdem mehr wert ...d Deine ganze Sippschaft!"

...ft vom Kleiderhaken meine klein... ...nter, haut sie schief auge... ...ie Stirn, reißt die Tür auf ...f und davon. Die Tür fällt ... mit großem Geräusch ins Schl...

372. (Nah) (Tf.-A.)

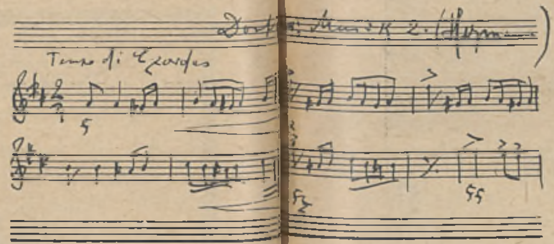
...er Dorfkneipe, wird aufgerissen. ...itt mit wütendem Gesicht ...t.

373. (Nah) (Tf.-A.)

... schauen verwundert auf. Die ... zum Brechen voll. Schwerer ... liegt in der Luft. Eine ... Dorfzigeunerkapelle spielt auf.

374. (Nah) (Tf.-A.)

...t tritt mit zusammengebissenen ... der Schenke.



Zdjęcia niniejsze ukazują właśnie niektóre fazy owej żmudnej roboty przy realizacji filmu „Melodja serc" wytwórni „Ufa".

Zdjęcie pierwsze przedstawia fragment scenarjusza, do którego (zdjęcie Nr. 2) Werner Ryszard Heymann dobrał muzykę. Poczem (zdjęcie trzecie) omówiono daną scenę. Omawiają ją reżyser Hans Szwarc, reżyser Erik Pommer, operator Rittau, kompozytor Heymann.

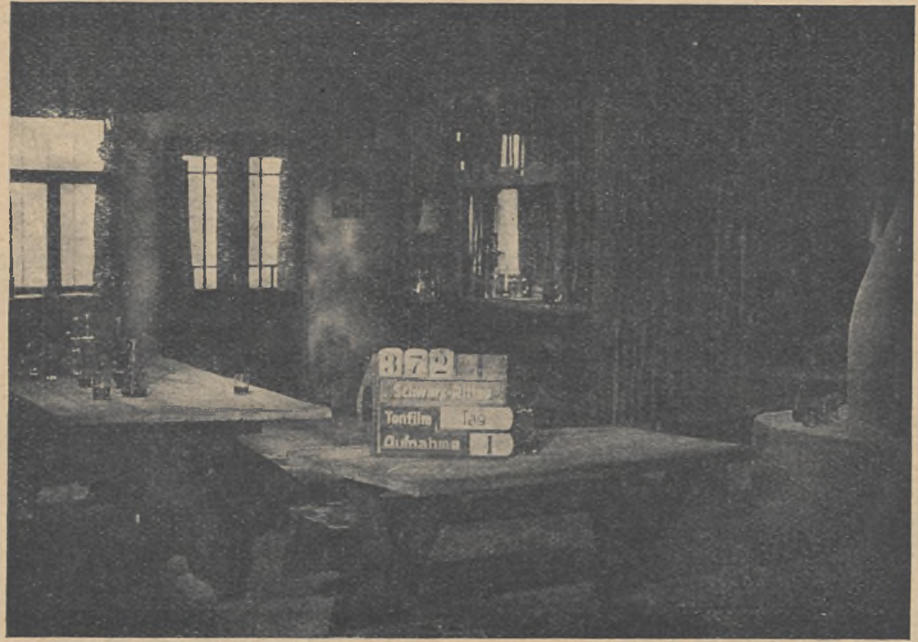
Jednocześnie (zdjęcie 4) architekt Erik Kettelhut przygotował szkic dekoracji, która następnie (zdjęcie 5) została wybudowana w atelier dźwiękowem Ufy w Neubabelsberg. Zdjęcie szóste przedstawia scenę, przeniesioną ze szkicu dekoracji w rzeczywistość. I oto zdjęcie siódme) widzimy nakręcaną scenę, podczas której cygańska orkiestra gra przed mikrofonem. Poczem następują (zdjęcie 8) rozmaite inne ujęcia sceny, do której widzimy przygotowania. Reżyser Szwarc rozmawia przez telefon z kierownikiem dźwiękowym.

Ponieważ film jest nagrywany w wersji węgierskiej, przeto Willy Fritsch, bohater filmu (zdjęcie 9) uczy się pośpiesznie węgierskiego.

Wreszcie, po wielu tygodniach, film jest gotów i wędruje do kabiny przed próbnem wyświetleniem.

Jak widzimy, nie jest to takie łatwe, jakby się mogło w pierwszej chwili wydawać.

Zed.











Obrońcy mniejszości

(Dokończenie ze str. 2-ej)

jak to podkreślił — szczerym przyjacielem mniejszości i pragnąc ich dobra, nie wątpi, że „delegacja niemiecka, po wygłoszeniu deklaracyj, przepojonych troską tak szczytną i pieczołowitością, tak szlachetną o los mniejszości, oświadczy niezwłocznie, iż rząd Rzeszy zobowiązuje się poddać całkowicie przepisom procedury o ochronie mniejszości".

Mistrzowskim sztychem szpady polskiej zdarto maskę obłudy z oblicza delegacji niemieckiej. Minister Rzeszy, Curtius, począł się dość niezręcznie wycofywać; podkreślał już, że projekt rezolucji niemieckiej nie domaga się bynajmniej natychmiastowej zmiany uchwał, powziętych w r. ub. w Madrycie, ale przecież musiał — przyparty do muru — oświadczyć, że Niemcy gotowe są rokować w sprawie rozszerzenia zasady umów mniejszościowych.

Nie łudźmy się, by ostatnie oświadczenie p. min. Curtiusa tchnęło szczerością. Zbyt dobrze znamy brutalną psychę pruską, której obce jest uczucie tolerancyjności wobec żywiołów etnicznie różnych.

Najlepszym chyba dowodem, jak wszystkim obmierzło jarzmo ucisku i braku tolerancji — jest deklaracja, nadesłana do Genewy, przez separatystów nadreńskich, w której żądają interwencji Ligi wobec teroru, stosowanego przez prusaków.

Odezwa ta rzuca snop jaskrawego światła na cyniczną obłudę przedstawicieli tego z państw Rzeszy, które, rozrósłszy się w ciągu stuleci kosztem podbitych i wynarodowionych ludów, rozciągnęło przemoc swą na całe państwo związkowe i, dążąc do dalszych podbojów, pragnęłoby wbijać kliny w organizmy polityczne swoich sąsiadów, rozszczepiać je przy pomocy mniejszości narodowych na części, by kawałami zżerać je następnie.

W świetle dnia jednak rozwierają się oczy!

Impresje teatralne

Teatr „Ateneum": „Zemsta", komedja w 4 aktach Aleksandra Fredry. Reżyserja: Zygmunt Chmielewski. Dekoracje i kostjumy: Iwo Gall.

Z radością witamy otwarcie sezonu w teatrze Ateneum. Jest to teatr, w którym zawsze widzi się coś ciekawego, coś nowego, niebanalnego. Jest to u nas jedyna, naprawdę jedyna świątynia nowatorstwa teatralnego.

Odwagą było obsadzenie nowemi siłami „Zemsty", posiadającej przecież i u nas takie tradycje, a jeszcze niedawno wystawianej w teatrze Narodowym w takiej, ni mniej ni więcej, obsadzie: jak Frenkiel — Cześnik, Rapacki — Milczek, Solski — Papkin, Osterwa — Wacław... Niezapomniany pozostanie też Papkin Jerzego Leszczyńskiego... Tu tę całą plejadę najwspanialszych nazwisk scen polskich zastąpił jeden tylko Stefan Jaracz, który swą kreacją Milczka raz jeszcze dowiódł, jak niesamowicie wielkim jest jego talent... Przytłaczał sobą całą rzesztę wykonawców... A i wśród nich na rzetelne pochwały zasługują Chmielewski i Buczyńska, Dziewoński i Drabikówna, Żeleński i Szletyński. Tylko Łuszczewski wydał nam się nieco niedociągnięty... Ale i to pewno wyrówna się na następnych przedstawieniach...

Reżyserja Zygmunta Chmielewskiego nad wyraz precyzyjna. Dekoracje i kostjumy niezmiernie interesująco pomyślane.

Całość — bez zarzutu, doskonała!

Nowej placówce teatralnej z całego serca życzymy pięknego rozkwitu i owocnej pracy.

Henryk Liński.



Cały zespół Polskiego Teatru z Junoszą Stępowskim, Romanówną i Lubieńską na czele, ściągają codziennie tłumy publiczności na „Kawalera Pape" *(fot. Brzozowski.)*

ROZRYWKI UMYSŁOWE

KRZYŻÓWKA.

	a	b	c	d	e	f
6		✱			✱	✱
5						
4						
3						
2				✱		
1					✱	

Znaczenie słów pionowych.

a6 Przeciwdziałanie groźbie
c6 Działacz niemiecki
d6 Miara długości (l. mnoga)
b5 Duchowny pewnego wyznania
e5 Rzeka w Europie
f5 Inaczej dramat (dawniej)

Znaczenie słów poziomych

c6 Częste połączenie spółgłosek (wspak)
a5 Polityk francuski
a4 Rasa psa
a3 Rzuca płyn na coś
a2 Przeczenie
e2 Inaczej posiada (wspak)
a1 Nadająca się do uprawy (wspak)

NAGRODY

Za rozwiązanie krzyżówki z niniejszego n-ru przeznaczamy nagrodę w wysokości

25 złotych

(do rozlosowania) oraz 2 książki beletrystyczne. Termin nadsyłania rozwiązań do 15.9. b. r.

ROZWIĄZANIE ZADAŃ z N-ru 36

✱	ga	da	ją	cy
za	wa	li	dro	ga
✱	po	bóg	✱	nie

Krzyżówka zoologiczna

kos		kostur
tur	kot	turkot
	ara	kotara

ROZWIĄZANIE ZADAŃ z N-ru 37

Krzyżówka sylabowa

kon	stan	ty	no	pol
✱	da	✱	stry	✱
bo	ry	✱	fi	ga
✱	za	to	ka	✱
na	cja	✱	cja	nek

NAGRODY

Za rozwiązanie zadań z N-ru 35 nagrodę w postaci zł. 25 otrzymuje p. Stanisław Koniecpolski, Brody, dom kolejowy.

Nagrody książkowe otrzymują: p. Roman Tyblewski, ul. Sierakowska 7 i p. Jadwiga Kossobudzka, Poznań, ul. Wyspiańskiego 14.

Za rozwiązanie zadań z N-ru 36 nagrodę w postaci zł. 25 otrzymuje p. Stanisława Rowińska, ul. Nowogrodzka 21.

Nagrody książkowe otrzymują: p. Janina Porąbówna, Łódź, ul. Pusta 13 i p. Piotr Kaczmarek, Anglja, 17 Celebrodce Drive-Wanstead, London E. 11.





PIERRE MAC ORLAN

2)



Noc Marji Chantal

(La tradition de minuit)

Streszczenie z poprzedniego numeru.

W małej kawiarence paryskiej, noszącej nazwę „Bal motyli", spotkało się późnym wieczorem parę osób. Wszystkie zdają się czekać na kogoś. Nastrój — tajemniczy, jak to bywa w podobnych lokalach, na przedmieściach stolicy.

Człowiek z wąsami wstał i skierował się ku drzwiom, otwierając je szeroko.

— Pozwoli pani? — zwrócił się do młodej kobiety.

Rozejrzał się na wszystkie strony. Tramwaj pędził po gładkich szynach. Po chwili wszedł zpowrotem do sali, zbliżył się do młodego eleganta i spytał go przyjaźnie:

— Czy pan tu jest po raz pierwszy?

— Tak. Wcale tu nie jest wesoło. Coprawda pośpieszyłem się trochę na spotkanie, które mi tu naznaczono. Pozwoli pan, że się przedstawię: jestem Szymon Saint-Thierry.

— Nazywam się Lucjan Flahaut. Czy mogę pana czemś poczęstować? I ja tutaj zostałem wezwany w pewnych sprawach — dodał szybko. — Mam specjalnego nosa w takich wypadkach i muszę panu powiedzieć, że to wszystko dziwnie pachnie.

Spojrzał na młodą blondynkę o ładnej, choć trochę zniszczonej twarzy. Odwróciła w tej chwili głowę. Lucjan Flahaut klasnął w dłonie, aby przywołać kelnera.

— Proszę dla nas dwa porto.

— Zdaje mi się — rzekł Saint-Thierry — że widziałem pana na Montmartre w jednym z lokali przy ulicy Douai.

— Możliwe — odparł Flahaut uradowany. — U Aliny?

— Nie.

— W knajpce na ulicy Pigalle?

— Nie.

— U Gabrjela?

— Nie pamiętam już. Nie mam zupełnie pamięci, ale widziałem pana gdzieś... u Rosjan może...

— Możliwe... rzadko tam bywam... Tylko pewnego razu strzeliło mi do głowy pójść napić się czegoś u Soni....

— Tak, tak — podchwycił Saint-Thierry — rzeczywiście... był pan...

— Niech pan powie, proszę... Boi się pan słów... ach, byłem trochę wstawiony, nawet bardzo wstawiony, prawda? Możliwe, zupełnie możliwe.

Flahaut promieniał wesołością; udzieliła się ona zwłaszcza kelnerowi, który przytakiwał głośno, uderzając się po udach.

—No, cóż? Gospodyni jeszcze śpi? — spytał Flahaut.

— Tutaj niema gospodyni — wyjaśnił kelner. — Lokal należy do pana Noël - le-Caïda, który w tej chwili jeszcze leży w łóżku. Aż do zamknięcia budy zajmuje się wszystkiem. Wczoraj było trochę wesoło

Dorzucił z udaną obojętnością:

— Widziało się już gorszych.

W tej chwili człowiek podobny do szczura wstał i podszedł do drzwi. Jego zniecierpliwienie nie było udane.

— Kelner, skąd można wiedzieć, która jest godzina, jeżeli wasz zegar stoi?

Trzy głosy uprzedziły odpowiedź kelnera.

— Za kwadrans dwunasta.

— Dziękuję panom i przepraszam za moją natarczywość, ale przyszedłem tutaj na umówione spotkanie. Chciałem się stawić na czas i muszę przyznać, że osoba, na którą czekam, spóźnia się.

Usłyszawszy słowo „spotkanie" młoda kobieta podniosła głowę i spojrzała na zegarek. Obok niej Saint-Thierry słuchał w roztargnieniu paplaniny Flahaut'a o marynarzach z Dunkierki i dziewczynkach z wielkich miast jak Paryż, których istnienie według niego dodaje miastom szczególnego uroku i jest zarazem nieszczęściem publicznem.

— Nieszczęście publiczne! — zawołał kelner zachwycony — tak właśnie gospodarz nazwał wczoraj jedną z dziewczynek, którą stąd wylał. To szoferzy dali jej tę nazwę. Zabawnie się składa.

— Mój mały — rzekł Flahaut poważnie — jeszcze dużo w życiu zobaczysz.

— A propos szoferów — wtrącił drugi z gości — nie wiadomo, czy policja wykryła tego, który przewoził walizkę, w związku ze sprawą Baaloir?

— Nie znajdą go nigdy — rzekł kelner z „Balu Motyli".

— Co do mnie — mówił Flahaut — ubolewam, oczywiście mniej niż pan nad tą dziwną epidemją zbrodni, rzucającą na dzisiejsze społeczeństwo smutne piętno, miejmy nadzieję, tylko przejściowe. Ale... myślę o mojem spotkaniu.

— O której schodzi gospodarz? — spytał człowiek z wąsami „à la Chaplin". — Bo wiesz, mój mały, nie lubię, jak mi ktoś każe czekać. Może stary coś wie o tem wszystkiem. Niech się pan dowie, czy nikt nie pytał o Ludwika Fraipont.

— Co pan mówi, obudzić starego! Lubi spać do dwunastej. Wszyscy państwo wyglądacie, jakbyście czekali na kogoś. Czy to ta sama osoba kazała wam tu przyjść?

Kelner stłumił śmiech, gdyż w głowie jego zrodził się już myśl o doskonałym żarcie, którego on będzie tylko bezinteresownym świadkiem.

— Posłuchajcie — rzekł, nadstawiając uszu. — Zdaje mi się, że ktoś chodzi na górze... Stary zaraz wstanie. Zapewne wie coś o tem wszystkiem. Ale ja mogę wam powiedzieć, że nikt tutaj nie przychodził... Może był ktoś wczoraj wieczorem, kiedy mnie nie było.

II.

— Przepraszam panią stokrotnie, — zaczął człowiek, podobny do szczura, — ale mam wrażenie, że i pani, tak samo jak my, nie należy do stałych bywalców tej kawiarenki. Tak jak i my, czeka pani zapewne na tajemniczą osobę, która naznaczyła pani przez telefon ważne spotkanie. Łatwowierność ludzka jest bezgraniczna. I ja, podobnie jak wy, mogę wołać: *mea culpa* i uważać się za naiwnego żółtodziuba. Poza tem określeniem moje nazwisko jest Eligjusz Mutter.

Pan Eligjusz Mutter zamilkł, a jego oburzenie wyraziło się w kilku potrząśnięciach głową. Przemowa jego doskonale odpowiadała ukrytym myślom gości, których dziwny przypadek skierował tego wieczora do szynku „Bal Motyli". Flahaut, Saint-Thierry, Ludwik Fraipont, Eligjusz Mutter i młoda kobieta spoglądali na siebie z niepokojem. Lucjan Flahaut pierwszy zdobył się na uśmiech.

— Niezły żart — zauważył ironicznie.

— To wszystko, co można o tem powiedzieć — odparł Saint-Thierry.

— Dawno już temu, w mojej młodości — opowiadał Flahaut — byłem świadkiem czegoś podobnego. Wspomnienie to wraca mi zbyt późno. Powinienem był pomyśleć o tem dziś rano. Żart jest pozbawiony sprytu. Nie mówię tak dlatego, że zaczynam mieć przeświadczenie, iż jestem ofiarą tego żartu, nie, gdyż jestem dobrym graczem, jeśli gra jest warta świeczki. Działo się to w Brugges w 1906 roku. Znacie Brugges — Umarłe, jak to się mówi. W rzeczywistości Brugges jest miastem, które pali się, jak przyćmiona latarnia: trzeba podejść z właściwej strony, aby widzieć jasno. Śmierć tego miasta jest tylko pozorna. Jest ono umarłe dla turystów, zakochanych w literaturze, ale ci, którzy znają stare miasto, wiedzą, że można tam wesoło spędzić noc, w każdym razie w czasach, kiedy służyłem w 2-gim pułku ułanów, składającym się z zuchów, których najzabawniejszy przypadek zebrał pewnego dnia w jednem miejscu.

— Najwidoczniej ktoś spłatał nam figla, naznaczając nam to spotkanie. A nasze oczekiwanie trwało pięć lat. Przez pięć lat czekaliśmy na rozwiązanie zagadki. Niektórzy mówią, że to była wojna 1914 roku. Co do mnie, byłem innego zdania. Muszę przyznać, że tamten żart był lepszego gatunku, aniżeli ten, który nas tutaj sprowadził. Ale nie o tem chcę mówić. W 2-gim pułku ułanów miałem przyjaciela, który pochodził z Mons. Był synem notarjusza. Lubił się bawić kosztem bliźnich. W tym czasie w Brugges, obok garnizonu kawalerji, była mała knajpa „Au rendez-vous des Pitauds", odwiedzana przez wesołe dziewczynki. Lokal ten zwykle świecił pustkami, gdyż garbata gospodyni była dziwnie nieuprzejma. Prowadzenie tego interesu było nad jej siły. W dodatku nie miała w sobie najmniejszej żyłki kupieckiej. Mój przyjaciel, Leo de Varing, wpadł na taki pomysł...

pod koniec wieczoru, och, nic strasznego... było paru awanturników.

— Niebezpieczni? — spytał Flahaut z miną znawcy

— I... tam; marynarze z Dunkierki i dziewczynki z bulwaru Javel.

W tem miejscu opowiadania, którego całe towarzystwo słuchało z pewnem zmieszaniem, Flahaut wybuchnął głośnym śmiechem. Po chwili uspokoił się i ciągnął dalej.

— Otóż mój Leo de Varing napisał dziesięć listów do dziesięciu garbusów w Brugges, potem do dwudziestu garbusów w Gandawie, następnie do wszystkich garbusów w Antwerpji, Mons, Bruksellі, Namur. Wysłał nawet listy do Lille, Tourcoing i Roubaix. Nie wiem, w jaki sposób zdobył adresy tych wszystkich garbusów. Myślę, że miał chyba specjalnych korespondentów w każdem mieście. Ta fantazja kosztowała go przeszło 500 fr. — tyle wyniosły znaczki pocztowe po 10 ctm. Wiem, że była mowa o jakimś spadku, zresztą ja sam jestem tutaj w podobnej sprawie. Listy jego były tak samo zwodnicze, jak ten, który otrzymałem wczoraj rano. Na dworcu w Brugges wysiadło pewnego dnia 730 garbusów, którzy jak jeden mąż, skierowali się do knajpki „Au rendez-vous des Pitauds“. Odprowadzała ich gromada dzieciaków, które śpiewały modną wówczas piosenkę „Viens, Poupoule“. Nie wszyscy garbaci goście mogli wejść do tej przemiłej salki, gdzie garbata gospodyni przyjęła ich soczystemi wymysłami. Ofiarom tego głupiego żartu nie pozostało nic innego, jak utworzenie pewnego rodzaju stowarzyszenia, w celu wniesienia skargi. Leo de Varing został zdegradowany i skazany na wypłacenie poważnych odszkodowań. W końcu nawet ojciec go wydziedziczył. I on został wezwany na spotkanie w forcie Św. Jana w 1909 r., jeśli mnie pamięć nie myli. Oto moja historja, panie i panowie; krótka i podobna pod niektóremi względami do naszej przygody. Przyszedłem tutaj, aby się spotkać z pewnym nieznajomym, który ma mi dać dokładne informacje co do jakiegoś spadku. Z początku myślałem, że to głupi żart lub oszustwo. W rezultacie przyszedłem tutaj. Zdaje mi się, że wszyscyśmy się spotkali tu w sprawie spadku, prawda?

Flahaut rozejrzał się dokoła: jego słuchacze mogli tylko potwierdzić.

— Oto list, który wczoraj otrzymałem — rzekł Eligjusz Mutter. — Przeczytam państwu, gdyż przypuszczam, że wszyscy jesteśmy ofiarami tej samej mistyfikacji.

Przetrząsnął kieszenie, wyjął arkusz papieru, zapisany maszynowem pismem i czytał:

„Szanowny Panie,

1) Zależy mi na tem, aby nie zdradzić mego incognito,

2) Muszę panu zakomunikować coś w pewnej sprawie spadkowej, która pana zdziwi,

3) Żądam prowizji od tej sumy, której beze mnie pan nie otrzyma,

4) Tylko dzięki przypadkowi dowiedziałem się o pana istnieniu i dzięki temu samemu przypadkowi wiem, że ma pan odziedziczyć wielki spadek,

5) Niech się pan stawi w miejscu i czasie, które panu naznaczę.

Proszę mi wierzyć, albo nie, ale proszę, niech pan przyjdzie, gdyż jeśli ja panu wyświadczę ogromną przysługę, pan może mi oddać niemniejszą. W tej całej przygodzie niema nic romantycznego. Lepiej zaryzykować i być ofiarą głupiego żartu (fatyga nie jest tak wielka), niż przejść obok majątku. Kiedy mnie pan zobaczy, zrozumie pan, dlaczego nie naznaczyłem spotkania u pana w domu. Podpisuję się mojem, prawdziwem imieniem. Jerzy“.

Adres szanownego kabaretu i godzina spotkania kończyły treść tego dokumentu.

— Otrzymałem zupełnie taki sam list, mam go nawet przy sobie — rzekł Saint-Thierry.

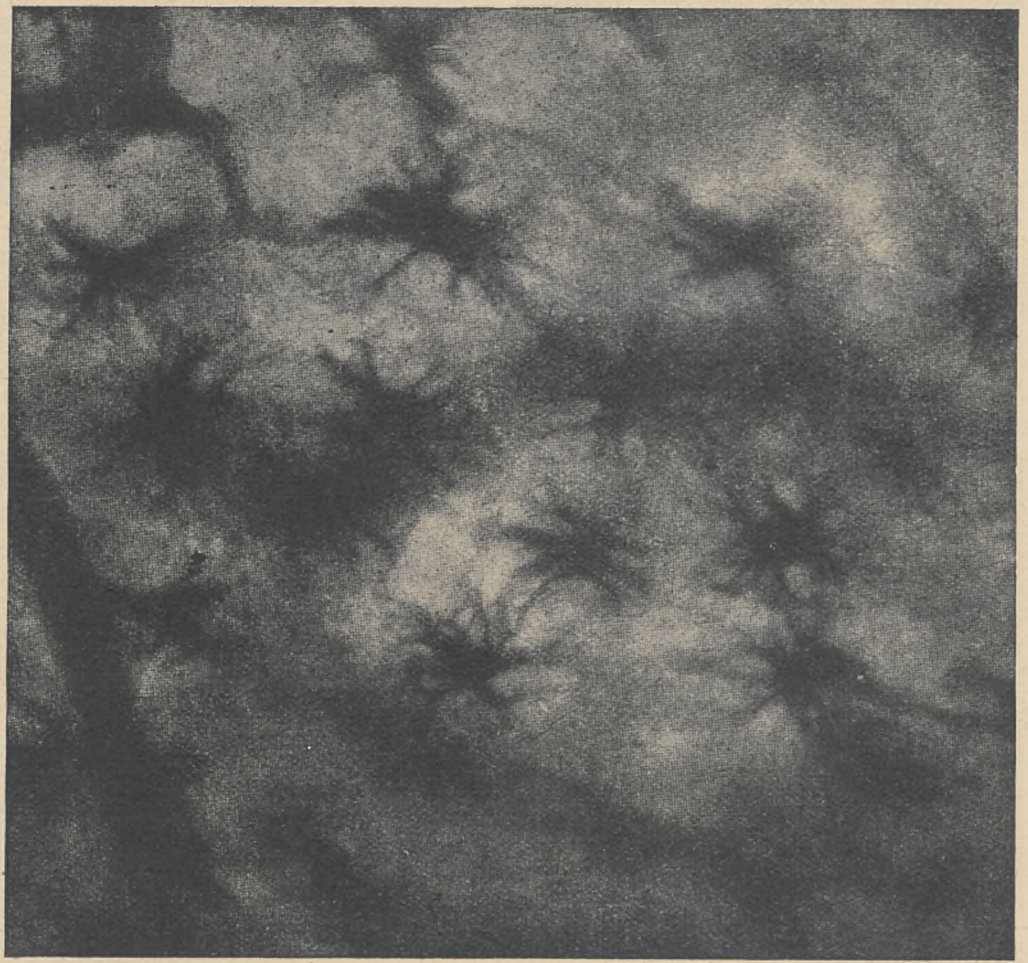
— Przypuszczałem, tak jak i pan, że to głupi żart, ale nie mogłem przezwyciężyć zrozumiałej ciekawości.

Zkolei zabrała głos młoda kobieta, co wywołało pewne zadowolenie wśród zebranych.

— Nazywam się Marja — Chantal Fosseuse. Urodziłam się w Nancy. Obecnie jestem śpiewaczką. Podróżuję dużo, ale, oczywiście, we Francji. Wracam z Brestu, gdzie śpiewałam przez tydzień na „Titanic'u“. Przyjechałam przed czterema dniami. Mam w domu telefon, jakkolwiek moje mieszkanie jest bardzo skromne. Zadzwoniono do mnie. Kobiecy głos, zaznaczam głos kobiecy, trochę dziwny, prosił mnie, żebym się zgodziła na spotkanie. Nieznajoma mówiła mi o spadku, który sprowadził nas wszystkich do tej samej roli. Spytałam ją o nazwisko, bliższe informacje. Potrafiła podsycić moją ciekawość podczas bezsennej nocy. Dziś wieczór, wbrew rozsądkowi, przyszłam tutaj. *D. c. n.*






Gruczoły krwionośne włosów pod mikroskopem.

SZAFARZE KRWI

Niedawno pisma codzienne podały sensacyjną notatkę, że związek transfuzjonistów proklamował strajk na tle ekonomicznem. O ciekawym związku ludzi, zawodowo handlujących swą krwią, nikt dotychczas nie wiedział. To też zadaniem niniejszego artykuliku jest uchylenie rąbka zasłony, kryjącej ten ciekawy związek.

Krew, ten życiodajny płyn naszego organizmu, jest jednym z najważniejszych czynników, mających wpływ na życie ludzkie. Organizm, pozbawiony dostatecznej ilości ciałek krwistych, można przyrównać do rośliny, usychającej z braku wilgoci. Jednakże, podczas gdy roślina, zroszona wodą, zaczerpniętą z pierwszej lepszej studni, ożywa, świeża krew, wprowadzona do żył chorego człowieka, nie zawsze staje się lekarstwem. Krew ludzka nie u każdego człowieka jest jednakowa. Dzieli się ona na kilka rodzai, sklasyfikowanych w parę grup. Dokonując transfuzji krwi z człowieka, należącego do grupy pierwszej, choremu osobnikowi z czwartej grupy, uzyskamy ten sam efekt, jak gdybyśmy wprowadzili do jego organizmu np. krew wielbłąda. Nieszczęśliwy musi wkrótce umrzeć, gdyż nowe ciałka krwi skotłują się ze staremi, poczem nastąpi rozkład krwi i zamieranie tkanek.

Transfuzję krwi, która jest najpotężniejszym środkiem wzmacniającym, stosuje się w dwuch wypadkach: przy osłabieniu organizmu, w razie utraty krwi, oraz przed dokonywaniem ciężkiej i długiej operacji osobnika, zbyt słabego na jej przetrzymanie. Transfuzji często potrzeba dokonać bez straty czasu i dlatego też wynika potrzeba mieć stale w pogotowiu „szafarzy krwi“ wszystkich grup i „gatunków“. Pierwsza Ameryka zaczęła utrzymywać w swych wielkich klinikach chirurgicznych ludzi, których zadaniem było w każdej chwili udzielić cząstki swej krwi choremu.
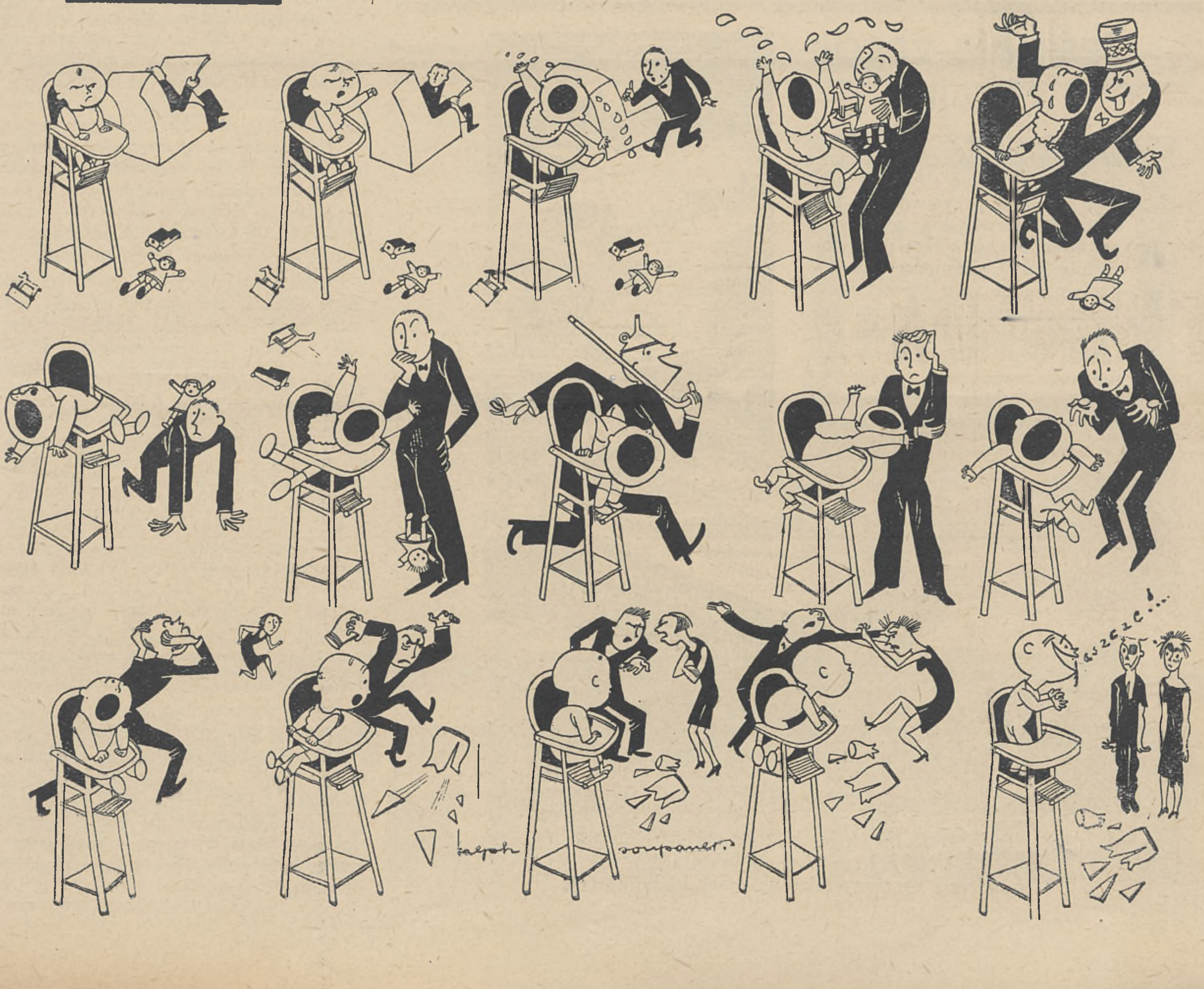
„Szafarze krwi“, jak ich nazywają, rekrutują się z pośród stuprocentowo zdrowych ludzi. Ten warunek kompletnego zdrowia jest niezbędny, gdyż jakakolwiek drobna ułomność organizmu może spowodować komplikacje u operowanego. Najłatwiej bowiem przy pomocy krwi może nastąpić infekcja choroby.

Ile może taki „szafarz“ odstąpić swej krwi choremu? Wydawałoby się napozór, że istnieje pewna granica, poza którą nie wolno przekroczyć. Jednakże tak nie jest. Normalnie zdrowy człowiek, a takimi są „szafarze“, posiada około pięciu litrów krwi, z której jeden litr może być śmiało wypompowany. Zdrowy organizm nie cierpi zbyt nad tą stratą, ponieważ w ciągu 14 dni wytwarza nową krew, która wypełnia powstałą lukę.

Zdawałoby się, że zawód „szafarza“ krwi powinien być zyskowny. Jest to jednak pogląd mylny. Żaden z tych, napozór poświęcających się ludzi, nie został jeszcze miljonerem, nawet w Ameryce. Ceny na krew są stosunkowo niewielkie i wahają się w rozmaitych krajach od 75 do 120 złotych za 100 centymetrów sześciennych. Pieniądze otrzymane za swą krew, musi zużytkować „szafarz“ na obfity i hygjeniczny posiłek, ułatwiający w szybkiem tempie zdobycie przez jego organizm utraconej krwi.

Nic też dziwnego, że wiadomości o strajku naszych rodzimych „szafarzy“ nie jest prostą kaczką dziennikarską. Dużo i sumiennie jeść jest u nas rzeczą nie łatwą, przy przeciętnym zarobku miesięcznym 300 złotych.

JEGO KRÓLEWSKA MOŚĆ DZIECKO NUDZI SIĘ... *(Rire)*



Hellen Keller — jej życie i dzieła



Hellen Keller w otoczeniu rodziny.

Cogito — ergo sum.

„Myślę — więc jestem oto jedyna prawda, świadcząca o człowieczeństwie. Hellen Keller, słynna na obie półkule pisarka — ślepa i głucha — jest żywym, jaskrawym tego przykładem.

Hellen Keller, obchodząca niedawno temu pięćdziesięciolecie swych urodzin, przyszła na świat jako dziecko zupełnie normalne, dobrze rozwinięte. Nic nie zapowiadało strasznej przyszłości, którą zgotował jej los. Mając półtora roku zachorowała na szkarlatynę, skutkiem tej strasznej choroby utraciła słuch, wzrok i mowę. Mijały miesiące i lata. dziewczynka wzrastała w stanie zupełnej dzikości. Niemożność uzewnętrznienia uczuć wywoływał u dziecka burzliwe wybuchy, wpadło z jednej ostateczności w drugą. to pełna nieprzebranej czułości całowało wszystkich, to znów w gniewnem podnieceniu sza'alo, biło i tłukło wszystko wokoło siebie.

Tak trwało przez lat 7. Kiedy dziewczynka zaczynała ósmy rok życia, rodzice jej, ludzie bardzo zamożni i kulturalni — przyjęli nauczycielkę, pannę Sulivan.

Kim była Anni Sulivan dla Hellen Keller, świadczą najlepiej słowa znanego pisarza niemieckiego, Feliksa Hollaendera, oddanego przyjaciela amerykańskiej autorki: „Zetknięcie się tych dwóch istot: Hellen Keller i Anni Sullivan — jest najlepszym dowodem istnienia Boga" — mówił we wstępie do autobiografji autorki.

Ona sama na każdym kroku, na każdej niemal kartce swych książek wyraża wdzięczność i podziw dla swej genjalnej nauczycielki — „Wszystko — mówi w pewnem miejscu w swej autobiografji — co dobre we mnie — jest jej dziełem; obudziła we mnie zdolności, ideały, dążenia i wolę niezłomną wytrwania. Jej zawdzięczam wszystko, co w życiu osiągnęłam".

Anni Sullivan stworzyła własny system, zupełnie różny od stosowanego naówczas dla głuchoniemych. Dziecko głuchonieme uważano wtedy jeszcze nietylko za istotę niedorozwiniętą, lecz przygłupka, prawie idjotę.

Do powierzonej sobie uczenicy podeszła jak do dziecka normalnego. Przez cały szereg dni, „rozmawiała" z nią zapomocą alfabetu palcowego, „wbijając" w dłoń dziecka rozmaite wyrazy. Hellen jednak nie umiała reagować na nieznane sobie pojęcia: było to dla niej nic nie znaczące uderzenie palców nauczycielki, coś w rodzaju zabawy.

Pewnego dnia jednak — a był to dzień, w którym ślepa i głuchoniema dziewczynka, istota nawpół dzika — poraz pierwszy przejawiła iskrę świadomości: *pojęła znaczenie słowa.*

Anni Sullivan zaprowadziła Hellen do studni i puszczając zimny strumień wody na rączkę dziewczynki wystukała jej kilkakrotnie w drugą słowo „water" — woda. Dziecko odniosło piorunujące wrażenie. Była to chwila przełomowa: Hellen zaczęła myśleć, wystukiwane palcami litery tworzyły słowa, a te, skrystalizowane pojęcia.

Od tej chwili dziewczynka zaczęła się rozwijać w tempie wprost gwałtownem. Każdy dzień przynosił coś nowego. Panna Sullivan zachęcona znakomitemi rezultatami, nieustawała na chwilę w swej pracy wyczerpującej i ofiarnej. Nauczycielka i uczenica nie rozstawały się ze sobą ani na chwilę, nawet później, gdy Hellen Keller uczęszczała do szkoły średniej i na uniwersytet, transponowała jej wykłady profesorów na „język", jakim z nią rozmawiała — na alfabet palcowy.

Hellen już jako młoda dziewczynka posiasiadała wprost niezwykłą energję i wolę żelazną. Wolą pokonywała nieogarnione trudności, wśród jakich przyszło jej zdobywać wiedzę. Wolą i miłością dla swych bliskich wiedziona nauczyła się mówić. Dopomogła jej w tem kierowniczka szkoły głuchoniemych pani Sarah Fullers, która obok Anni Sullivan była dobrym duchem Hellen Keller. Miała ona 10 lat, gdy postanowiła nauczyć się mówić. Rodzina i przyjaciele uważali to przedsięwzięcie za niemożliwe do przeprowadzenia i w obawie przed skutkami rozczarowania dla dziecka, wrazie nieudania się eksperymentu odradzali stanowczo próby. Hellen Keller przetrwała: pokonała wszystkie trudności, męki duchowe i fizyczne. „Odwagi dodawała mi myśl — spowiada się później autorka — iż siostrzyczka moja tak bardzo ucieszy się moim głosem.".

Hellen nauczyła się mówić! Ukończyła szkołę średnią, uniwersytet, posiadła znakomicie języki: francuski, niemiecki, łacinę i grekę. Bardzo wcześnie zaczęła odczuwać potrzebę pisania, literackiego uzewnętrzniania się.

Już jako mała dziewczynka pisywała nowelki i opowiadania. Pióra nie zarzuciła jako dorosła i stała się znakomitą pisarką. Wśród licznych jej dzieł wyróżniają się „Historja mojego życia", „optymizm", „Mój świat", „Moja droga do socjalizmu". Obecnie z okazji pięćdziesięciolecia wydała zebrane wspomnienia p. t. „W pełni życia".

Z książki tej, jak może z żadnej innej wywiera sylwetka autorki. Okazuje na wszystko czujnego ducha, czułego przyjaciela ludzkości, dla wszystkich, co cierpią, jest dobrą i tkliwą.

Jest to skromna, lecz niezmordowana pracownica na niwie ogólnego dobra.

Poza działalnością literacką ma za sobą Hellen Keller bardzo poważną działalność społeczną. Jest założycielką i opiekunką „The foundation for the blind". Instytucję tę powołała do życia z funduszów publicznych, objeżdżając z odczytami całą Amerykę.

ZOFJA DROMLEWICZOWA.

PRZEGLĄD FILMOWY

Światowid „Parada Miłości". — Stylowy i Pola Negri „Rewja Hollywood".

„Parada Miłości" — operetka przeniesiona na płótno ekranu. Sympatyczna sztuka „Książe Małżonek" zamieniona na film dźwiękowy. Trzeba przyznać, że zamiana została wykonana zręcznie i że sceny śpiewane nie rażą zbytnio, pomimo, że wielbicielom „Niemej Sztuki" dziwnem musi się wydawać, gdy nagle w scenie miłosnej usta kochanków, przygotowane już do pocałunku otwierają się zgodnie i niespodziewanie, by razem zaśpiewać arję miłosną. Reżyserja filmu (Lubicz) dowcipna i pomysłowa. Wystawa bogata. Z aktorów wysuwa się naturalnie Chevalier. Jego wdzięk, jego urok osobisty jest powodem, że najbardziej nieprawdopodobne sytuacje wydają się możliwe, że nie sprzeciwiamy się wprowadzeniu walorów głosowych na plan pierwszy.

Całość filmu miła i dowcipna. Szkoda tylko, że bohaterzy bez przerwy rozmawiają. Ujście swemu niezadowoleniu dawał głośno jeden z widzów, jakiś starszy pan, który przy każdym niemal odezwaniu się Chevaliera wołał głośno: Kundlu, gadaj po polsku! Jak widzimy publiczność warszawska emancypuje się z dniem każdym i stawia coraz większe wymagania. Wymaganiom tym w pewnej części czyni zadość film „Rewja Hollywood", który posiada wkładkę polską. W kładce tej występuje Hanusz i Ordonówna. Conferensierka Hanusza wyszła bardzo udatnie, zwłaszcza doskonały jest numer „pod modrem niebem Argentyny". Natomiast Ordonówna nie została wyzyskana całkowicie. Piosenki jej wywierają o wiele większe wrażenie śpiewane ze sceny. Na filmie zaginął jej osobisty charme, czar jej urody. Przyczyniły się do tego słabe zdjęcia. Sama „Rewja Hollywood" stanowi mieszaninę bogatej wystawy, doskonałych aktorów z niezmierną naiwnością wymagań. Jakże naiwnym nap. jest ów numer obrzucania się kremem. Do bardzo dobrych należy efekt światłocieni w pierwszym numerze, następnie parodja Lon Channeya, taniec akrobatyczny, oraz taniec Buster Keatona z wężami. Najłatwiejszą jest „Piosenka deszczowa". W rezultacie jednak po obejrzeniu wszystkiego ma się ochotę zobaczyć albo prawdziwy film, albo prawdziwą rewję.

TO, TAMTO I OWO

CO OZNACZA „WAC"? ODZNACZENIE DLA AMATORÓW-KRÓTKOFALOWCÓW.

Dyplom „Wac" jest najwyższem odznaczeniem dla amatorów-krótkofalowców. Litery „Wac" znaczą: „woked all continents". Dyplom ten wręczany jest amatorom tylko pod tym warunkiem, że nawiązali kontakt conajmniej z jednym amatorem na każdym kontynencie. Dyplom ten wydaje stowarzyszenie „International Amateur Radio Union" (IARU). Istnienie już tak wielkiej ilości amatorów „Wac" jest najlepszym dowodem, że nadawania amatorskie mogą stać na wysokim poziomie technicznym.

STACJA NADAWCZA W BRNIE NA 36 KW. JEST JUŻ GOTOWA.

W Brnie wykończono już w warsztatach nowy nadajnik na 36 kw. Jeszcze w ciągu b. r. stanie tam stacja nadawcza. Budowa nowego nadajnika na 60 kw. czyni również wielkie postępy.

NOWY PLAN KRÓLEWCA.

Ażeby umożliwić słuchaczom wniknięcie w tę olbrzymią pracę, jakiej wymaga zestawienie programów radjowych, zarząd radja w Królewcu postanowił, ażeby kierownicy najważniejszych wydziałów radjowych wygłosili odczyty o swej pracy. Gdy słuchacze dowiedzą się, jakie kolosalne trudności trzeba przezwyciężyć przy ułożeniu programu, krytyka ich w przyszłości będzie niewątpliwie o wiele łagodniejsza. Jednocześnie zaś nauczą się oni lepiej oceniać nadawane audycje.

NOWA STACJA NADAWCZA W FINLANDJI.

W tych dniach została uruchomiona w Pasili nowa stacja nadawcza. Stacja ta pracuje na długości fal 221,4 z energją 10 kw.

W kraju winnych latorośli

Wrzesień i październik jest miesiącem winobrania. Tysiączne rzesze ludu ciągną do winnic, by zebrać słodki plon.





Oto kilka obrazków z radosnego zbioru, oraz charakterystyczna scenka z wsypywania gron do kadzi, w której wyciska się natychmiast sok na wino.





„7 DNI" WYCHODZI CO CZWARTEK W WARSZAWIE — KRAKOWIE — POZNANIU — LWOWIE — I WILNIE
Prenumerata krajowa wraz z przesyłką: kwartalna: 5.50; półroczna 10.50, roczna 20 zł. Prenumerata zagraniczna: kwartalnie 8 zł, półrocznie 15.50 zł, rocznie 30 zł. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Chmielna 35. Telefon 525-85. Konto P. K. O. 19-447. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Redaktor naczelny: EUGENJUSZ RAFALSKI. Wydawca: „PRASA ILUSTROWANA" S-ka z ogr. odp.
Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska", Warszawa, Szpitalna 12. Tel. 117-98 i 504-46.